

Czy przekleństwo yogi może sprowadzić śmierć?

Pewien Anglik, doskonale znający stosunki w Indiach angielskich, opowiada dwa wypadki, mogące świadczyć o wielkiej potęgę yogów.

Było to — zaczyna swe opowiadanie Anglik, — na wielkich plantacjach indyga, na których jednym z dozorców był niejaki Swaine. Trzeba przyznać, że był to człowiek niezmiernie twardy i surowy, uznający, że jedynie właściwą metodą postępowania z robotnikami jest używanie bicia i kija.

Hindusi są naogół bardzo cierpliwi, ale przebrała się wreszcie miarka nawet ich cierpliwości, po stanowili tedy na postępowanie swego dozorcę poskarżyć się miejscowemu yodze. Yoga wysłuchał wszystkich skarg, przerwał swoje czynności, a stał właśnie od wielu lat na jednej nodze, i udał się na plantację. Tego dnia właśnie Swaine był w bardzo złym humorze, a w dodatku nieco sobie podpił i zapowiadał się jeszcze surowszym niż zwykle. Yoga podszedł do niego i zaczął przedstawiać, że nie wolno w ten sposób postępować z robotnikami.

Swaine i bez tego uważał yogo za nicponia, toteż z pogardą je-

dynie słuchał jego wywodów, a gdy przebrała się miarka jego cierpliwości, uderzył yoga batem. Zgromadzeni dokoła tubylcy byli przekonani, że dozorca zmiążdży yogo, który jednak nie cofną się po uderzeniu, owszem stał wytrwale na miejscu i znosił cierpliwie bez żadnego okrzyku dalsze uderzenia dozorcę. Dopiero w momencie, gdy Swaine odwrócił się, yoga wykrzyknął pod jego adresem straszliwe przekleństwo hinduskie, złożone z sześciu wyrazów. Swaine nie wzruszył się bardzo przekleństwem, zrobił bowiem tylko maleńki grymas twarzy i było rzecz widoczna, iż żadnej wagi do tego przekleństwa nie przywiązuje.

Upłynęły zaledwie dwa tygodnie od chwili spotkania dozorcę z yogą, Swaine zupełnie już niemal zapomniał o przekleństwie, gdy nagle opanował go niebывały lek. Oto prawa ręka, którą właśnie bił yogo, puchła coraz bardziej, poczynając od palców, ból zaś był coraz straszliwszy. Żadne okłady nie pomagały, obrzęk rozszerzał się coraz dalej i wkrótce sięgnął do łokcia.

W tych warunkach uznano za konieczne pojechać do lekarza.

Lekarz spojrział na ranę, pokiwał głową, zapytał o to i owo i oświadczył, że nie może w żadnym wypadku być mowy o zatruciu organizmu przez ukąszenie owada czy w inny jakiś sposób. Niema zresztą żadnych objawów zatrucia. Lekarz zalecił odczekanie, myśląc, że rana sama ustąpi.

Ale już w pół roku po wypadku Swaine leżał na emfentarzu. Jego choroba była właściwie bardzo przyspieszonym procesem gnicia i rozpadania się ciała. Zaczęło się od ręki prawej, z której bóle i rany przeszły do lewej, a później rany ukazywały się stopniowo na obu nogach. Gdy owrócenie na nogach doszło do kolan, prawa ręka odpadła choremu. Serce coraz bardziej odmawiało posłuszeństwa. Chory zmarł. Gdy po śmierci lekarze zbadali ciało, okazało się, że w organizmie nie została jedna hodajka kropla krwi.

Skoro tubylcy dowiedzieli się o śmierci dozorcę, powiedzieli tyle tylko, że gdy yoga przeklina, stracony jest każdy, którego to przekleństwo dotyka.

Dość podobny wypadek miał miejsce w życiu pewnej wiedunki. Było to w kilka lat po wojnie światowej. Jasnowłosa piękność wiedeńska zaręczyła się właśnie z kupcem, prowadzącym handel z Indiami, i za wspólną zgodą wyznaczyła Indie jako miejsce ślubu. Po ślubie młoda para miała odbyć dłuższą podróż po Indiach i dopiero po niej wrócić do kraju.

Podczas jednej z takich przewidzianych podróży do młodej wiedunki podszedł jakiś żebrak i poprosił o jałmużnę. Żebrak, nie dostając nic od Europejki, stał się coraz natrętniejszy. Toteż kobieta zirytowana kopnęła go z lekka i kazala odejść. Żebrak po kopnięciu upadł, szybko jednak podniósł się i wypowiedział te same tajemnicze słowa, które ów yoga wyrzucił pod adresem Swaine'a.

Bezpośrednio po tym przekleństwie, wiedunka poczuła, że wszystka krew odpływa jej do serca. Okazało się, że przekleństwo i tym razem odniosło skutek, albowiem w awa miesiące po powrocie z Indii owa wiedunka zmarła.

Pieniądze leżą na ulicy...

Sen na jawie angielskiej girlsy

Wielu z tych, którzy znają powiedzonko o pieniądzach, leżących na ulicy, śmieje się z tego w kulkę, twierdząc, że są to tylko puste słowa. Ze jednak i w tem przysłowiu, nawet w tych czasach, jest ziarno prawdy, świadczy fakty. Świadczy o tem historia, takiej oto zwykłej sobie, nie nadto nawet przystojnej girlsy angielskiej, Ellinor Gardener, która wraz z trupą tancerek, pod przewodnictwem managera Th. Ramsaya'a, znalazła się na tournée objazdowym po miastach i portach azjatyckich.

Ellinor Gardener miała tylko dwadzieścia dwa lata, ale bardzo trzeźwą główkę i realne spojrzenie na świat rzeczy i ludzi. Gdy trupa Ramsaya'a zawitała do portu indyjskiego, Rangoon, zaczął tam działać urok Amora.

Mr. Ramsay podczas przejażdżki wieczornej po zatoce oświadczył się formalnie miss Gardener. Dla biednej girlsy oświadczenie zamożnego bądź co bądź człowieka i szefa imprezy były, a przynajmniej powinny były być, prezentem niespodziewanym, okazją zrobienia kariery. Miss Gardener miała jednak inne, bardziej rzeczowe poglądy na przyszłość. Nie odpowiedziała na wyznanie Ramsaya'a ani nie, ani tak, lecz zaproponowała mu coś wręcz odmiennego — założenie w Rangoon olbrzymiego etablisementu rozrywkowego dla wszystkich — bogatych i biednych, białych i kolorowych.

Praktyczna i śniąca na jawie swój sen o jutrze girlsa wykładowała zdumionemu adoratorowi, iż Rangoon nadaje się, jak żadne inne miasto, do podobnej imprezy: port niezwykle ożywiony, punkt węzłowy dla okrętów z Zachodu i Wschodu azjatyckiego, siedziba bogatych kupców, armatorów, ekspedytorów, młasto, gdzie pełno marynarzy ze wszystkich stron świata — oto wymarzony jej teren dla imprezy, która osiągnie bezwzględne powodzenie.

Co sobie myślał mr. Ramsay — niewiadomo. Dość, że zaakceptował w całości plan malej girlsy i wyjechał u kapitalistów, z którymi pozostawał w stosunkach, dużych kredyt na imprezę. W rok później w centrum portowej dzielnicy Rangoon'u stanął olbrzymi

gmach, mieszczący największy lokal rozrywkowy w całej Azji.

W „The Golden Tower“, jak się nazywa lokal miss Gardener-Ramsay, pomieścić się może jednocześnie do sześciu tysięcy widzów. Każdy znajdzie tu to, czego szukał. Każdy może się tu zabawić za tyle, na ile go stać. Osobno znajdują się sale dla najbiedniejszych, których stać tylko na czarkę wódki ryżowej, osobno lokale dla zamożniejszych, dla Chińczyków malajów, murzynów, osobno wreszcie lokale dla białych. Obok zaklinaczy wód, tancerek i tancerek jawańskich, indyjskich, występują bokserzy chińscy, kugla-

rze japońscy, szansonistki muzyczne, girlsy europejskie, klowni, muzycy, gimnastycy — co kto chce.

Z niczego powstało coś. Mała, biedna girlsa wysniła sen o jutrze. Stworzyła wielką imprezę, której jest główną kierowniczką. Dyriguje personelem, złożonym z tysięcy osób. Impreza cieszy się olbrzymim powodzeniem, przynosi ogromne zyski. Miss Gardener istotnie znalazła pieniądze na ulicy. Czy leżały one na ulicach Rangoon, czy innego miasta — wszystko jedno. Faktem jest, że mała Ellinor dojrzała je i uśmiechała się schylić po nie.

Ciekawostki radiowe

RADJO KOJARZY MAŁŻENSTWO

„Le Haut Parleur“ podaje sensacyjną wiadomość o małżeństwie zawartym przez dwoje amatorów krótkofalowców, z których jedno zamieszkiwało New York, drugie — Londyn. Znajomość zawarta na falach eteru została uwieczniona małżeństwem.

OLIMPIJADA AMATORÓW - NADAWCÓW

Podczas Zawodów Olimpijskich odbędzie się m. in. konkurs, w którym udział wezmą amatorzy — nadawcy. Zwycięscą będzie ten, kto wykaże, że zdoła osiągnąć połączenie z największą ilością daleko położonych stacji.

PECH RUDEGO SPEAKERA

BBC ma trudności w wyszukiwaniu odpowiedniego speakera telewizyjnego. Wybrany z pośród 188 kandydatów, podający wymagane kwalifikacje, musiał być odrzucony, ponieważ przekonał się, że rudawy kolor jego włosów źle wychodzi na obrazach telewizyjnych.

TAJEMNICA ZAKOCHANEGO

Czasopismo niemieckie „Funk i Express“ podaje wiadomość o niepokojeniu słuchaczy okręgu warszawskiego „żalami miłosnemi“, nadawanymi przez jakąś tajemniczą stację nadawczą. Wykrycie stacji było utrudnione, naskutek ciągłego zmieniania długości fali. Wzmianka kończy się zapewnieniem, że amator — nadawca widocznie ukoił swój smutek, gdyż od pewnego czasu wezwania „dalekiej ukochanej“ umilkły.

MARCELUK ZAGINAŁ!

W rodzinie p. Stroncia ze Lwowa wielka awantura. Zniknął gdzieś Marceluk, ukochany synek p. Stroncia. Jak to się stało i czym się zakończyło, dowiemy się z Wesółej Fali dnia 5 lipca r. b. o godz. 21.00. Audycja pióra W. Budzyskiego, muzyka Leopoldiego, Kratky'ego i Felnera.

STUDIO W POCIĄGU

Radio — Strassburg posiada wagon

pullmanowski, wyposażony w potrzebne urządzenia techniczne, który służy jako studio do nagrywania reportaży z życia. Po sześciomiesięcznym okresie próbnym, wagon został oddany do użytku.

NIESAMOWITY KONCERT

Rozgłośnia bratisławska zdystansowała wszystkie radiofonie świata nie samowitą audycją muzyczną, nadając koncert na instrumentach pochodzących z epoki dyfuwajnej, czyli liczących ok. 30 tysięcy lat wieku. Instrumenty te znaleziono w wykopaliskach w Wisternitz (na Morawach). Początkowo sądzono, że będą pierwszym instrumentem nuczonym ludzkością, późniejsze badania wykazują, że człowiek przed spóźnieniem bębna już grał na piszczałkach i fujarkach, robionych często z kości zwierząt przedhistorycznych. Zasadniczo, takie prymitywne instrumenty pozwalają na oddanie bardzo ograniczonej ilości i skali tonów; wiedząc jednak, jak skomplikowane melodie potrafił wygrać na najprostszych instrumentach ludzie stojący na niskim stopniu kultury, możemy przypuszczać, że w dyluwialnym okresie człowiek potrafił wydobyć z prostej piszczałki dużą skalę tonów.

HUMOR

PLUS

— Ta dama jest bardzo bogata. Czy ma pan majątek?
— Nie, ale mam starożytne imię: Adam!

(Le Rire).

LOGIKA

— Nie, nie, mój drogi, liczą się tylko czyny, słowa nie liczą się.
— Tak? Nadaj depezę!

(Le Rire).

MARJAN MALKOWSKI

36)

TAJEMNICA ZA KAŻDEMI DRZWAMI

Powieść

— Nie wiem, czego chcecie ode mnie — głos Felicji był pełen bolesnego wysiłku. Nie byłam wtedy w domu.

— To kłamstwo. — Wyniosła postać komisarza Pietraszka wynurzyła się nagle z kąta pokoju. — Była pani wtedy w domu, widziałam panią! Skrzypek uliczny, który grał na podwórzu mniej więcej koło wpół do szóstej widział, jak wychyliła się pani przez łufcik, by mu rzucić pieniądź i cofnęła się zaraz gwałtownie. Poznał panią, bo nieraz rzucała mu pani monety; czy mam go tu zawołać...

Oczy Felicji wpatrywały się w twarz Pietraszka z wyrazem osłupienia. Poruszyła ustami, ale głosu wydobyć nie mogła.
— Widzi pani — rzekł sędzia Adulski — kłamstwo na nic się nie przydało, przeciwnie, pogarsza jeszcze sprawę. Dlaczego ukrywała pani przed policją swoją obecność w mieszkaniu? Nie odpowiada pani, dobrze, więc ja pani powiem: przyznając się do bytności swej w domu w chwili morderstwa, bała się pani ułatwić policji wykrycie faktu, że to pani była celem przybycia Cholyńskiego, że to z panią miał się widzieć zamordowany.

— To nieprawda — wyszeptala Felicja — nie znałam go przecież, czegoż mógł chcieć ode mnie!

— Nie znała go pani — głos komisarza Pietraszka zabrzmiał groźba — więc tak prędko miałaby pani zapomnieć ów miesiąc przed czterema laty spędzony w pensjonacie „Adelajda“? Zapomniała już pani o swym nieodstępnym towarzyszu wszelkich zabaw i wycieczek, o sąsiedzie z pod piętnastego numeru, od którego dzieliły panią tylko cienkie drzwi tak łatwo dające się otworzyć?...

Felicja krzyknęła. Usta zasłoniła ręką. Podniosła się i znów opadła na fotel, oczami, w których widniało śmiertelne przerażenie, patrzyła na swych prześladowców.

— A ta fotografia? — komisarz Pietraszek rzucił na biurko

mały kartonik — może ona przypomni pani Cholyńskiego, czy też mam może wezwać właścicielkę pensjonatu „Adelajda“ i sprzedawczynię w sklepie spożywczym?

Zapanowała chwila ciszy w czasie której słychać było skrzyp pióra protokółującej aplikantki.

— Cholyński wyjechał wcześniej — podjął znów komisarz Pietraszek — i pisywał do pani... Oczywiście odpisywała mu pani. Miał te listy i gdy dowiedział się o pani zaręczynach z Wyszęboroem postanowił wykorzystać je dla szantażu. Był wtedy bez posady, w ciężkich warunkach materialnych, pani była zamożna, Wyszębor również. Zagroził pani przesłaniem listów narzeczonemu. Prawdopodobnie płaciła mu pani z początku, następnie spróbowała pani uwolnić się od niego. Wybrała pani na to dzień 12-ty października, już wcześniej zaopatrzyła się pani w broń, nie twierdząc, że zamierzała pani świadomie zabić Cholyńskiego, może chciała mu pani tylko zagrozić a może nastraszyć udaniem samobójstwem... Nie wiem, dość, że Cholyński otrzymał adres pani zapisany niedokładnie na kawałku papieru, który znalazłono później przy zmarłym. Parę minut po wpół do szóstej zjawia się on u pani. Prośby i groźby nie robią na nim wrażenia, oznajmia, że jeśli mu pani nie wypłaci pewnej sumy, pójdzie natychmiast do pana Wyszębora. Zrozpaczona wybiega pani za nim na schody, Cholyński się odwraca, pani strzela, poczem wyrwa pani z rąk upadającego swoje listy, by je później oczywiście zniszczyć. Schody na szczęście są chwilowo puste, nikt nie zwrócił uwagi na huk wystrzału, wszystkie drzwi pozostały zamknięte, ale lada chwila może ktoś nadejść, trzeba trupa ukryć i to jaknajprędzej spóstrzeżga pani pozostawiony na schodach tapczan, otwarty przez pomocnika tapicera, tam wciaga pani trupa, wierzach zamyka i ucieka do siebie...

Komisarz Pietraszek zatrzymał się zdyszany, pochylony nad Felicją śledził wrażenie, jakie na nią wywierały jego słowa.

Panna Westen siedziała z rękami splecionymi na kolanach, usta jej drżały, oczy miała przymknięte, z pod powiek, po twarzy po bladej, twarzy zmiętej cierpieniem płynęły wolno grube, ciężkie łzy. Gdy komisarz umilkł, westchnęła, jakby budząc się z jakiegoś koszmarnego snu i rzekła cicho ale dobitnie.

— To wszystko nieprawda.

— Więc pani przeczy! — wykrzyknął w furji komisarz Pietraszek.

— Ja nie zabiłam Cholyńskiego... Felicja podniosła spuszczone powieki i nie patrząc na Pietraszka zwróciła się do Adulskiego. —

REDAKCJA: Warszawa, Nowy Świat 22. Telefony: 666-68 (redaktor naczelny), 666-68 (sekretariat), 666-99 (ogólny). Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt w godz. 12—13.

ADMINISTRACJA: Warszawa, Al. Jerozolimskie 121. Telefony: Zarząd 691-64, Prenumerata 691-66, Księgo-wość i Kasa 220-30. Dział Ogłoszeń Zgoda 1, tel. 691-56, Kantor — Zgoda 1, tel. 230-00. Skrzynka pocztowa 745. Adres telegraficzny — ABC Warszawa, Konto P.K.O. Nr. 15-798.

PRZESŁAWIACIELSTWA: Piotrków Trybunalski, Słowackiego 8, tel. 59. Włocławek, Cyganki 24, tel. 136. PRENUMERATA: miejscowa (z odnośnikiem do domu) i na prowincji zł. 2.30 miesięcznie; wydanie B wraz z dziełami Sienkiewicza zł. 3.30 miesięcznie.

Ceny ogłoszeń:

za miejsce wysokości 1 milimetra przez szerokość jednej szpal-ty (na wszystkich stronach po 6 szpal-ty): na 1-iej stronie — 1 zł, w tekście (wśród artykułów) — 70 gr., w reklamach (wśród ogłoszeń) — 50 gr., na ostatniej stronie — 60 gr. Notatki reklamowe — 1 zł. Komunikaty i wyjaśnienia — 1.50 zł, opisy specjalne — 3 zł, lekar-skie — 30 gr. Nekrologia po 3 gr. Drobne po 30 gr. za wyraz, duże litery w ogłoszeniach „drobnych“ liczy się za oddzielne wyrazy, a tłusty druk — podwójnie. Notatki reklamowe oznacza się cyfrą (N.), a komunika-ty i wyjaśnienia cyfrą (K.). Za terminy druku ogłoszeń Administracja nie odpowiada. Wydział ogłoszeń: Zgoda 1. tel. 691-56 — biuro czynne od godz. 9 rano do 6 wiecz.